

## Wycieczka

Kicińska Władysława

W domu naszej Anieli Wróbel długo nic się nie działo. Przynajmniej tak długo, aż nie nadszedł ten ważny dzień. Aniela wybierała się w góry, ale do tej pory jeszcze nie podjęła wysiłku,

by przejrzeć garderobę, którą z sobą w podróż zabierze. Siedziała przy kompie i ciągle plumkała. Gdy do niej dotarło, że to tuż, tuż, a ona jeszcze na ten temat nic, a nic, że u niej jeszcze wszystko jest w niezłym proszku, w niebycie, to wstała, otworzyła szeroko szafę i zaczęła się w niej prawdziwa inspekcja. Wcześniej była przekonana, że coś w niej na podróż ma, a tu... O Jezu, kochany... Oświeć mnie! W czym ja u licha pojedę? Na tę myśl, spociła się cała, jak taka prawdziwa szara mysz. Ta sama, która biega po najbliższym polu. Poturlała się do drugiego pokoju i od samych drzwi, wypaliła.

– Nigdzie nie jadę! Zostaję w domu.

– A to dlaczego? – spytało dziewczę, które tam siedziało. Coś ważnego się stało, bo mnie nic, a nic nie wiadomo...?

– Nie mam co na siebie włożyć.

– Akurat. Zaraz zrobimy w szafie remanent. Dziewczyna wstała. Otworzyła matczyną szafę i natychmiast wypaliła. – To możesz włożyć. I to, i to. Jedziemy tylko na tydzień. I jeszcze to na wszelki wypadek, gdyby cię dopadł jakiś niezgrabiasz, gdybyś się czymś połała, albo solidnie przemokła. Kijaszkę już kupiłam. Portki też kupiliśmy. Są czarne. Szerokiego tyłka nie będziesz w nich miała. Te popielate faktycznie były do bani. Kapelusz masz, ten sam, co miałaś we Włoszech. Tym razem droga nie jesteś. Jeśli wiatr ci go już na samym wstępie nie porwie i z głowy nie zdmuchnie, to do końca wycieczki wystarczy.

– O...

– Nie ma żadnego „o”. Trzeba nam się szykować i już. Wszystko co możliwe spisałam na karteluszkę i...

– Wiem! Wystarczy to włożyć w torbę i che ja... Patrzcie, jak jej poszło.

– Poszło, bo już wcześniej miałyśmy to obgadane, a ty, kobieto, znowu czegoś wydziwiasz.

– Wydziwiam, bo jechać taki świat drogi. I te postoje na stacji łąki, to nie...

– Wiem. Nie na twoje zdrowie, mamuś. Na moje też nie. Zresztą nie na stacji łąki, tylko głównie na stacjach benzynowych. No... może na którymś postoju łąki też będą, bo kierowca może być zmęczony, bo był niespodziewany objazd, albo były jakieś inne nieprzewidziane przeszkody, czy nieznane nam pierdy.

Wieczorem dwie Wróblowate stanęły na rynku. Nikogo jeszcze nie ma? To niemożliwe. Jeszcze nikt by nie przyszedł? A tu niecała godzinka do wyjazdu. Autokaru też nie ma? Trochę to dziwne. Czyż nie tak? I co teraz? Pomyliły się, co do dnia albo godziny wyjazdu? Kurcze blade... bo i tak mogło być. A to się porobiło, myślą.

– Wierzyć mi się nie chce, że nikt nie chce znaleźć dla siebie wygodnego siedzonka? W tym kraju, gdzie wszyscy po wszystko pędzą, jak tacy zapowietrzeni, jakby im rozum odebrało, to tu nic takiego się nie dzieje? Dzwonne to trochę. Mamy tu pełną kulturę? W życiu w coś takiego

nie uwierzę.

– Idź i zobacz, bo może gdzieś tam stoją. Poczekam tu na ciebie z naszymi manelami, a ty idź i sprawdź...

Agatka jeszcze nie doszła do ratusza, gdy zza jego węgła rozległ się chóralny śmiech. Śmiali się tak, jakby biały dzień był, a nie północ. Środek nocy.

– Stałybyśmy tu, jak takie dwie głupie gęsi, a tam wszyscy już są. Jak się znam, to jesteśmy ostatnie. Zawsze będziemy ostatnie i do miski, i...

Do czego jeszcze? Tego już nie powiedziała. Byle nie wypowiedziała tego w złą godzinę, myślimy. One też czekały na autokar, którym pojadą. No cóż... Przyjechał o czasie. Czym prędzej do niego się załadowali, wsiedli i...

Oczywiście jadą przed siebie... Jadą długo czy krótko? Trudno powiedzieć, bo droga co i rusz im mijała... Wreszcie zajechali na miejsce. Wielkiej ekwilibrystyki trzeba było, by wejść wąskim wejściem, po kamiennych schodkach do ośrodka, w którym będą miały spanie. Teraz klucze i... jeszcze po innych schodach na drugie piętro... Wspięły się nimi, ale nie same. Pewien miły pan im pomógł. Żal było patrzeć, jak z ich bagażem w górę się turlał. Ale dżentelmenem był. Nie inaczej... Uparł się, że on im te manatki zanieś i już... Dziękują mu gorąco... Bo „mężczyzn” w tym kraju powoli brakuje. Ostatnio faceci są jacyś nedorobieni. Czy pójdą jeszcze na dół. Pójdą. Oczywiście, że pójdą. Będzie obiadokolacja. Byle nie taka sama, jak ta we Włoszech. Codziennie pasta, ledwie czymś polizana, a później spanie. Można by jeszcze, gdzieś pójść, ale obydwie są padnięte... Po trzynastu godzinach jazdy... Próbowały w autobusie uciąć komara, ale za bardzo nie potrafiły, bo ten jadąc szarpał, gdy stawał i jak były zakręty...

Z rana są na śniadaniu. Nie były pierwsze. Raczej ostatnie. Widać przepowiednia Anieli się spełniła. Później... Zawieźli ich wszystkich w takie miejsce. Stąd pójdą pieszo na szlak. Godzina była późna, bo jedenasta. Zakupy niektórzy u znajomej pani robili. Przez to tak im zeszło...

Słońce już było wysoko. Skwar niesamowity się zrobił, gdy na niego wchodzili. Niesamowicie słońce piecze. Potwornie skwarzy, a oni idą. Droga... /A może inaczej trzeba było, to coś wypłukane przez wodę nazwać. Trakt. Szlak. /, pięła się lekko w górę. Niektórzy mieli niezłą kondycję, ale nie nasza Aniela. Poczzerwieniała na twarzy i nieustannie ciężko sapała. Wreszcie weszli pomiędzy drzewa. Chłodniej tu było, ale za to niezbyt bezpiecznie, bo kamień przy kamieniu tutaj był: wielki, mały, całkiem maleńki, średni. Jednym słowem kamienie między sobą były wymieszane i przemieszane. Trzeba było uważnie stąpać, by gdzieś nogi nie wsunąć i jej nie złamać albo nie zwichnąć. Niektórzy pędzili. Nie patrzyli na to, że mogą nogę gdzieś wsunąć i ją złamać. Niewiele ich to obchodziło. Szyli tak, jak idzie się chodnikiem albo asfaltową szosą. Gdyby Aniela się połamała, to wtedy byłby koniec wycieczki. Trzeba by gdzieś usiąść i wyc do słońca, bo księżycy jeszcze długo na niebie by nie było, a najlepiej do helikoptera, który by takiego

kontuzjowanego człowieka stamtąd zabrał. Miałby z tym ogromny problem, bo w tym miejscu, by nie wylądował, a ratownicy na linach nie mogliby tu się opuścić. Tak czy inaczej, za tymi, co mieli niesamowitą kondycję we dwie się wlokły. Jak się za tamtymi na miejsce odpoczynku dowlokły, to ci co już zdążyli odpocząć wstawali i szli dalej. Oni byli wypoczęci. One nie. Za długo tam nie stały, bo chciały do tamtych dołączyć, ale z tym było tak... Jakby smród po połoninach albo po gaciach gonić. Nieustannie go się czuło, ale złapać za nic się nie dało. Tak czy siak... Doturlały się do Chatki Puchatka. Dzieciaki puszczone samopas zrywały tu jagody. Wchodziły głęboko w krzewiny jagód. Gdzie u licha są rodzice? Nie miały pojęcia. Mają tu być węże... Ale dzieciaki chyba były obcojęzyczne, bo nie rozumiały, co Anieli do nich mówi. A dorośli... nawet nie podnieśli głowy, bo mieli naszą Anielę i jakieś tam dzieciaki gdzieś. Czyli bardzo głęboko. Pewnie w poważaniu. Znowu była gonitwa za tamtymi i znowu... Wiele nie odpoczywały, bo nie chciały za bardzo od tamtych odstawać. Wieczór mógł się zrobić, gdy za długo będą się wlokły. Wiadomo, że niedźwiedzie tu były, wilki też miały tutaj być. O węzach nie należy wspominać, bo i tak je lekceważono. Na ścieżce w słońcu się nie wygrzewały, to wszyscy jak jeden mąż mieli je gdzieś. Dla tych mądrali nie istniały.

Myślimy... Zwykle jest tak do czasu. Później jest płacz i zgrzytanie zębów.

Aniela powoli miała dość. A tu taki wąski przesmyk. Z prawej strony skała. Półtora metra wysoka, a może nawet nie i nie była za długa, ale trzeba było obok niej jakieś dwadzieścia metrów przejść. A z lewej strony, jakby co, to z impetem polecą w dół. Zdaje się, że zaczynają u niej działać zmysły. Odezwała się u niej bujna wyobraźnia, a ta jej przedstawia wszystko to, co było najgorsze. Z jednej strony wypiętrzona w górę skała, a z drugiej urwisko. A daleko w dole ogromne pnie drzew. Powstał problem. Trzeba jej to miejsce przejść taką wąską ścieżynką. Może ma pół metra szerokości albo ciut mniej. Anieli nie jest w stanie tego zrobić. Za nic w świecie tego paskudnego odcinka nie przejdzie, bo nie potrafi. Nie ma tego dużo, ale i tak jest to trasa nie do pokonania. To prawdziwy Mont Everest. Nagle robi się słaba, jak takie prawdziwe niemowlę. W głowie jej się kręci. Jeśli wejdzie na ten kamienny przesmyk, to być może zwali się z impetem w dół. W najgorszym wypadku się zabije, a to trochę lepszy scenariusz. Gorszy scenariusz, to taki, że przeżyje i tylko solidnie się połamie. A co w tym, by było najfajniejsze? Tylko to, że pewnie złamie kręgosłup. Złamie go, jak polecą w dół, jak się będzie objęła o rosnące pnie drzew. Odtąd będą ją karmić, jak takie maleńkie dziecko. Karmić ją będą, poić, obracać na boki i podcierać... Coś takiego ma zrobić swojej Agatce? Zaczyna się motać w taki sposób, że aż przysiadła na pupę. Jakaś nieznajoma kobieta pomaga jej wstać. Nic mi nie jest, mówi do tej kobiety, tylko mi się przysiadło. Dziękuje kobiecie za pomoc. Może nie robi tego bardzo wylewnie, ale jej dziękuje, bo nie zawsze swoim bliźnim się pomaga./ Jak ta z czymś takim później będzie żyła, myśli ciągle o swojej małej. Wyciągnęła ją z domu. Od roboty i od szarzyzny życia, a teraz ma jej kłopotami za to zapłacić? Anieli przepuściła jakiegoś faceta z niemowlakiem na plecach.

Biedny maluch. Miał ze trzy miesiące. Najwyżej pół roku. Wdychał pot swojego ukochanego tatuśka i lepił się całą buźką do niego, i do jego zgrzanych spoconych pleców. Pot i piekielny upał. Fajna mieszanina dla takiego maluszka bez nakrycia głowy. W taki upał, w takie słońce i bez nakrycia główki. Kwilił mu ten dzieciaczek w tym nosidle, jak taki podduszony lub podtopiony kociak. Nie płakał, tylko kwilił. I jeszcze, idzie mamusia. Pędzi za obojgiem. Wścieka się, jak wszyscy diabli. Warczy jak prawdziwa wilczyca. Ciągnie z sobą starszego dzieciaka. Ten nawet nie płacze. Czy ta durnota choć trochę pomyślała, że w tym wąskim miejscu, mogło jej się wyrwać z ręki i polecieć tam, gdzie Aniela za nic nie chce lecieć. Gdyby to było na ulicy, to pewnie malec, by jej się wyrwał z ręki. Wrzeszczałby, jak taka prawdziwa syrena. Strażacka albo okrętowa i czmychnąłby przed swoją rodzicielką, aż na jezdnię. W chwilę potem miałyby babsko świeżutki dżem albo nawet marmoladę. Kto byłby winien? Pewnie kierowca, bo nie przewidział, co taki maluch pod opieką swojej kochanej mamusi zrobi. Ale tu... na tym rozgrzanym, jak patelnia szlaku, dzieciaki nie mają dość siły na to, by tym dorosłym, nieodpowiedzialnym durnotom płakać, ani im się przeciwstawiać. Na ulicy, by im się zerwali ze smyczy i tupali nogami. Tu biedaczyska się nie zerwą, bo nie potrafią. Brakuje im na to siły.

W tej chwili nasza Aniela jest nieporadna, jak takie prawdziwe niemowlę. Inni swobodnie przechodzą, to trefne miejsce. Idą tu w taki sposób, jakby szli szosą albo miejskim chodnikiem. A ona co...? Ma tam stać, by ta durna matka za dużo nie szarpała tego swojego dzieciaka, by jej w przepaść nie spadło? Dużo później spotkały taką jedną mamuszkę, która idąc szlakiem nieustannie gadała przez komórkę, a dzieciak uczepony u paska od jej plecaka, wlecze się za nią z tyłu i wacha jej śmierdzące kropki. Nie widzi maluch co ma pod nogami, bo jest zbyt blisko swojej durnej matki.

A najfajniejsze w tym wszystkim jest to, że jakiś facio, w tym trefnym miejscu stoi i z naszej Anieli, i z jej nieporadności się śmieje. Robi to, aż do rozpuku. „Trawy lepiej tu się nie chwycić”, mówi zanosząc się od śmiechu. Nawet nie próbuje ukryć, że jest mu wesoło. Ale Aniela i tak ją chwytą, bo nie ma czego w tym miejscu się chwycić. Skała jest gładka, jak pupa niemowlęcia. Nie ma tu czego dotknąć, bo nie ma tu żadnego pęknięcia, żadnej szczeliny, czy wybrzuszenia. Wreszcie... jej zmęczony organizm, czy sflaczały mózg reagują pozytywnie. Na co? Właśnie na to trochę wątlej trawy, której się chwyciła, a z której, ten gamoń tak radośnie się śmieje, jakby było z czego. Nasza Aniela w pewnym momencie się prostuje. Nagle nabrała sił, wigoru, albo wiatru w żagle i wreszcie... przechodzi ten fatalny odcinek. Czyżby ktoś tam stał? Pilnował jej...? Anioł? Bo i diabeł tam był? Jest tego prawie pewna. Jednocześnie oboje, by w tamtym miejscu się pojawili? Ciekawe po co, oboje, aż tam by poniosło? Mógł jej ten „dżentelmen” z bożej łaski chociaż podać rękę, ale tego nie zrobił, tylko stał i rechotał, jak taki przygłup... Tak. Jak prawdziwy przygłup. Normalny człowiek, by tak się nie zachował, tylko by swojemu bliźniemu pomógł. Chociażby tylko wsparł dobrym słowem. Ale ten przygłup tyle rechotał, tyle

się śmiał, że aż strach. To musiał być diabeł. Prawdziwy. Nikt inny, tylko Czart z piekła rodem. Wcześniej musiał w tamtym miejscu być Anioł. Była nim kobieta, która jej wstać pomogła. Nie śmiała się, że jakieś babsko na dupsku siadło, tylko jej pomogła. Nie zapytała, czy może jej pomóc, tylko zrobiła to i już.

Temu Przygłupowi Aniela na koniec nic nie powiedziała. Chociaż ona też często bywała pyskata, jak jej ktoś solidnie nadepnął na odcisk. Za wielu świętych wokoło niej nie było. Ale tylko tyle pomyślała, żeby ten jego urągliwy śmiech, któregoś dnia nie odbił się i w niego rykoszetem nie trafił, by mu ten urągliwy śmiech nie odbił się solidną czkawką.

Później jest ciut lepiej.

Dostają instrukcje, gdzie mają iść, by nie zejść ze szlaku. Pan musi... albo pan postanowił pędzić razem ze „sportowcami”, z pozostałymi mądralami. Tak ich swędzą pięty, że nie mogą sobie z nimi poradzić...? Waleczne są te Gamonie, prawda? Bo tak trzeba tych państwa nazwać. Ciągłe pędzą przed siebie, ciągle się popisują. Gdyby Aniela wiedziała, że ma jechać na zawody sportowe, to z całą pewnością, by nie pojechała. W internecie widziały: zielone bieszczadzkie lasy, przepiękne połoniny, pasące się na nich konie i owce, a tu szlak pełen kamieni. Ciągłe trzeba patrzeć pod nogi. To po co było im tam jechać? Zostałyby u siebie w domu, gdyby miała o tym choć trochę pojęcia. Chciała pooglądać piękne widoki, a nie gapić się ciągle pod nogi. U siebie ma kamienne chodniki. Nie musi pod nogi tyle patrzeć, a tu ma pędzić przed siebie, jak taka stara wariatka? Ma biec do najbliższej mety? Gdyby wiedziała, że tak to wszystko się odbędzie, to by siedziała u siebie w domu, albo by się kondycyjnie przygotowała na zawody sportowe. Powoli miała to wszystko gdzieś. Całą tę durnowatą wycieczkę.

Teraz obie z Agatką już wiedzą, że dalsze zejście będzie dość parszywe. Jak pokonają te piekielnie wysokie schody, to będzie dobrze, ale najpierw muszą je pokonać. Wiedzą to od pana, który je wcześniej poinstruował i od facia, którego „niesie” w górę. One idą w dół. On szedł w górę. Kierują się wyznaczonym szlakiem. Tabliczki nieustannie głoszą, że ze szlaku nie należy schodzić. I bardzo dobrze... One też nie zejda, bo... nieustannie o tym czytały. Dobrze wiedzą, że szlaku należy pilnować, a nie włączyć się byle gdzie.

Patrzą przed siebie. Kurcze blade... Szlak je, aż tu zaprowadził? Mają gdzieś się wdrapać? Przytrzymać się tej połamanej poręczy i co dalej. Wygląda to trochę dziwnie, bo poręcz jest paskudnie zniszczona. Zrobiona z byle jakiego drewna. Słabo okorowana i niezbyt oszlifowana. Jednym słowem takie byle co. Ale u nas często jest byle jak, dlatego specjalnie temu się nie dziwią. Schody żadne w górę nie prowadzą. Może to coś drewniane ma pomóc im w wejściu? Widzą, że pozostali idą w innym kierunku. Gdzie oni wszyscy u licha idą? Znają ten szlak, czy co? Innym szlakiem, by ich poniosło? Nie ma tu żadnej strzałki, by zejść z tego szlaku, którym do tej pory szły. Mamy pytanie, czy dobrze zrobią zmieniając kierunek, ale durnowata Aniela wlecze swoje dziecko w niewiadome. Dla niej szlak, to szlak. Młoda idzie na zwiady. Gdy

wraca mówi, że znak tam jest inny. Kurcze... co mają robić. Aniela nigdzie nie przyuważyła, co tamten znak oznacza, a może innym znakom za dużo się nie przyglądała, tylko temu co trzeba. W każdym razie nie ma dość siły na to, by tam iść. Jak będzie musiała wrócić, to nie będzie wstanie tego zrobić. A tu wejść... Może jakoś wejdzie, ale co będzie z drugiej strony...? Z tamtej strony może być przepaść. Spadną z impetem na „dziób” i co wtedy? Jakby co, czy na dół zejść bezpiecznie? Kurcze blade. Jeśli tam nie będzie przyzwoitego zejścia, to albo skręci razem ze swoją małą kark, albo trzeba będzie im wrócić. Z powrotem różnie może być, ale jest już tak zmęczona, że z niczym się nie liczy. Wszelkie niebezpieczeństwo ma za nic. Chce stąd wyjść. Bez względu na to, jakim zrobi to kosztem. Ważna jest Agatka. Nie ona. Ona jest już stara. Jakby co, to odejdzie w dalekie zaświaty. Dziewczyna idzie za nią. Jeśli Aniela na nią spadnie, to z jej małej będzie marmolada albo gęsty dżem. Nikt ich tu nie znajdzie. Mała nie zabrała z sobą komórki. „Po co mam ją nosić. Przecież idziemy grupą. Ktoś z facetów na pewno będzie ją miał. Przecież holują z sobą swoje; ukochane żony, małżonki. Kto im będzie gacie i skarpetki prał? Muszą mieć przy sobie komórki.” Aniela też jest głupia. Mogła ją włożyć do własnego plecaka, ale myślała, że mała robi ją w bambuko, bo za dużo wszystkim się przejmowała. Jej też Pan Bóg rozum tego dnia odebrał, czy co. Dlaczego im to zrobił? Jak jej teraz nie pomoże, to będzie prawdziwa kapica. Wchodzą tam, gdzie pewnie nie mają wejść. W górze Aniela łapie za coś metalowego. Na tym pewnie i na czymś tam jeszcze trzymały się te pieruńskie poręcze. Mocno tym szarpie, to coś jest dość stabilne, bo to jest metalowa rurka.

Św Franciszku, mówi, ty wiesz, że niewiele się modlę. Pamiętała, że jej pomógł. Wtedy, gdy nie miała dość siły na to, by za innymi wyjść na zewnątrz, gdy tamtego dnia była przy jego grobie w Asyżu. Wtedy jej też pomógł. Nagle... tamtego dnia, nabrała takiej siły i takiego wigoru, że za innymi w górę biegła. Strasznie wtedy śmigała. Bała się, że jak tylko przystanie, to nie będzie miała dość siły na to, by z tych podziemi o własnych siłach wyjść. Musieli by ją stamtąd wynieść. Tak tamtego dnia była upałem wykończona. Nikt za wiele tam się nie modlił, tylko przemaszerowali w dół i w chwilę potem wychodzili na zewnątrz. Tam było chłodno. Mogła choć trochę odpocząć.

Tam też była ze sportowcami. Jakie te ludziska są głupie, myślała później. Jak trzeba coś zrobić, to poruszają się, jak takie muchy w płynnej smole, ale na balangi to zawsze są pierwsi.

Aniela jeszcze raz chwyta się tego metalu, jak ostatniej deski ratunku. Wyciąga do góry jedną nogę, a drugą się odbija i... nawet nie poczuła wysiłku, a już jest u góry. Jak to zrobiła? Sama nie wie. Udało się. Odetchnęła z ulgą. Mała w chwilę potem jest za nią. Jej też się udało. W końcu nie ma siedemdziesiątki tak samo, jak ona. Póki co odetchnęły... Teraz zejście... Byle nie złamać karku... Tym razem obydwie się śmieją. Czyżby rzeczywiście św Franciszek im pomógł. Aniela dziękuje mu za pomoc. Zbudował specjalnie dla nich po drugiej stronie drewniane schody? Schodzą nimi w dół. W taki fajny sposób. Wkrótce zobaczyły, że ich szlak z tamtym się połączył.

Tym razem jest tabliczka z napisem. Szlak turystyki na koniach. Czy tam, gdzie wcześniej były, nie mogła być przynajmniej namalowana strzałka? Ciekawe co takiego nadzwyczajnego, by się stało, gdyby tak zrobili. Ale w tym kraju już tak jest, tylko dużo się gada, ale jak trzeba coś zrobić, to mądrale mają dwie lewe ręce i do tego strasznie pokręcone. Postanowiły, że nie powiedzą panu, gdzie włożyły. Dopiero później mała się przyznała, że nie kazał im tam wchodzić. Biedak dostałby rozległego zawału, gdyby o tym wiedział. Aniela zauważyła, że od jakiegoś czasu idzie w dziwny sposób. Nie garbi się, tylko własny brzuch wypina mocno do góry. Prawie pod sam nos. Zrozumiała to już nad tym wąskim przejściem. Coś jej się dziwnego w kręgosłup stało. Może dlatego tak jej się w głowie kręciło. Nie jest nauczona na plecach nosić tobołków, to teraz ma. Idzie jak taka połamana. Pochyli się raz i drugi w przód, to może jej przejdzie. Na szczęście jej przeszło, bo jakby się z takim brzuchem w autokarze pokazała. Ciekawe, co na jej widok by robili. Śmiali by się z niej, czy by jej z humorem klaskali i sobie nawzajem pokazywali.

Idą. Wciąż od Agatki słyszy, że już są blisko, że już widać słońce, bo w lesie na dole panował półmrok. Akurat, myśli Aniela. Przechodził młody mężczyzna. Mówi im dzień dobry. Agatka pyta czy jeszcze daleko do zejścia ze szlaku. Odpowiada, że... po polsku nie rozumie. Mała przechodzi szybko na angielski. Jezusiczkule, kochany! Agatka nie miała bladego pojęcia, że w polskich górach przyda jej się angielski. Ale on też nie wiedział. Wielka szkoda. Ale na szlaku spotkać Anglika? To przecież niepojęte. Nie wiedziała, czy go dobrze gramatycznie zapytała, ale to wszystko było zrobione w takim pośpiechu i z wielkich emocji. Ważne, że oboje zrozumieli swój dialog. Może był nieudolny, ale co tam.

Wreszcie wyszły z lasu. Zeszły ze szlaku. Pan kazał im iść przez łąkę. Pójdą drogą. Dalej, ale pewniej. Dość zmarnowały czasu. Z daleka zobaczyły czekającą na nie „ekipę”. Siedzieli pod sklepem ABC. Martwili się? Pewnie. Pan do Agatki się nie dodzwonił. Kiedy je z daleka zobaczyli. Zrobił się tam okropny ruch. Mała dostała „wciury”, za brak telefonu... Kiedyś komórek nie było i ludzie jakoś sobie radzili. Teraz wszędzie trzeba mieć komórkę albo przynajmniej numer. Inaczej od razu robi się koniec świata.

Wsiadły do autokaru. Wtedy... usłyszały; wszyscy są cali i zdrowi. Nikt nie musiał nikogo sprowadzać. Same zeszły. Za karę wszyscy dostali wysuszone kurczaki. Po co było tak pędzić? Następnego razu nie wszyscy poszli na szlak. Niektórzy bali się wyłamać... Wstydzili się...? I po co...? Kolejny raz, by zobaczyli ludzką solidarność... Były takie turystki, które były strasznie ważne. Pójdą na szlak choćby miały skrócić własny kark. Karku nie skróciły. Nogę tak. Aniela nie chciała mieć żadnej kontuzji. Nie chciała, by do niej przyjeżdżało pogotowie, albo by pozostali mieli zepsutą wycieczkę. Przez to wyszła na nieudolną babcinkę. Ale co tam. Nie zjadły jej niedźwiedzie, ani nie pokąsały żmije. A ci mądrale... Najedli się wstydu. Powinni się najeść. Jedzie się gdzieś z grupą, to z nią się idzie. Grupa to grupa. Tym mądrałą też mogło coś się przytrafić. Czyż nie tak? Aniela by im nie pomogła, bo jej z nimi nie było.



Aniela zauważyła, że na szlaku w górach mówi się nieznanym dzień dobry. Jak była na wsi to też. U niej w korytarzu się nie mówiło, bo i po co, ale podróże kształcą. Jej sąsiedzi powinni pojechać w góry, koniecznie... Może by się czegoś nowego nauczyli. Czyż nie tak?